



Mirosław Derecki (md)

EKRAN I WIDZ: KONIEC SEZONU

W Kazimierzu nad Wisłą deszcz leje jak w całej Polsce; w mieszkaniach zimno, w kawiarniach i restauracjach napastują ludzi natrętnie Cyganki-wróżki i może dlatego punktem zbornym bywalców renesansowego miasteczka stało się kino. Grają po trzy seansy dziennie, a na każdym frekwencja murowana.

Nie bez znaczenia, oczywiście, jest sprawa repertuaru, a ten został dobrany jakby w przewidywaniu deszczowej pogody: prawie codziennie prażymy się razem z wyjącmi Indianami w promieniach słońca stojącego nad prerią. Jednego dnia przewodzi nam „Ulzana - Wódz Apaczów”, innego „Unkas - ostatni Mohikanin” pędzący na czele Rumunów przybranych w orle pióra, bo tak naprawdę to film kręcony, przez bratnią kinematografię gdzieś na równinach naddunajskich, wreszcie włączymy się z „Old Shatterhandem” w towarzystwie dziarskich traperów –Jugosłowian po górskich bezdrożach Serbii i Dalmacji. Jerzy Niecikowski skarży się w jednym z wakacyjnych numerów „Filmu”, że przeszkadza mu w pisaniu felietonu pracująca za oknem kosiarka. Szczęśliwy! Kosiarka oznacza pogodę. Mnie przeszkadza w pisaniu ulewa bębniąca w szyby okienne, a w dodatku uszy mam wciąż pełne wojennych okrzyków naddunajskich Indian...

Ale oto w repertuarze kina następuje pewna odmiana: „Gorące polowanie” – japoński film w reżyserii Junya Sato, twórcy średniego pokolenia, specjalisty od sensacyjnych dramatów. Jego „Superekspres w niebezpieczeństwie” i sprowadzone do Polski „Gorące polowanie” były w Japonii przebojami kasowymi ubiegłego sezonu. Widocznie Japończyków takie rzeczy chwytają; my w Kazimierzu jakoś „Gorącym polowaniem” nie zdołaliśmy się zachwycić. Może dlatego, że po szeregu europejskich filmów, udających filmy amerykańskie, mieliśmy stanowczo dosyć podobnych eksperymentów. A przecież reżyser dobrze nagłowił się, żeby swoje dzieło nafaszerować sytuacjami na miarę... trzeciorzędnych amerykańskich filmów sensacyjnych... Oto szlachetny prokurator z Tokio staje pod zarzutem gwałtu, a następnie – morderstwa. Oczywiście „dowody winy” zostały sfingowane przez szukających zemsty na prokuratorze ohydnych złoczyńcach i musi on sam – uchodząc ścigającej go policji – dać świadectwo prawdzie. W tym celu umyka licznym obławom, a po drodze walczy z ogromnym niedźwiedziem, uwodzi w skalnej pieczarze piękną córkę hodowcy wyścigowych

koni, w ciągu pięciu minut uczy się prowadzenia samolotu i to tak dobrze, że łatwo ucieka ścigającym go wojskowym odrzutowcom, znajduje schronienie u prostytutki, udaje wariata w nowoczesnej klinice psychiatrycznej, aby wreszcie wpaść na trop złowrogiego gangu, który przy pomocy specjalnych pigułek robi z intelektualistów bezmyślnych debili. Oczywiście wszystko kończy się happy endem i prokurator prowadzi swoją ukochaną już nie do oślizłej pieczary, ale do nowoczesnego, tokijskiego mieszkania. Sensacja została przyprawiona szczyptą „filozofii”, że to prawnik na własnej skórze przekonuje się, iż często ścigany jest też człowiekiem i to nieraz niewinnym. A także, że prawo bywa bezsilne wobec matactw wielkich spółek akcyjnych lub koncernów. Ale widz przyjmuje owe „odkrycie” dość obojętnie, entuzjazmując się już raczej niekłamaną urodą czarnowłosej, filigranowej Ryoko Nakano (filmowej Mayumi).

Tymczasem Amerykanie, szczególnie twórcy westernów, coraz częściej zaczynają popadać w fascynację Krajem Kwitnącej Wiśni. Był już film „Samuraj i kowboje”, a teraz Tom Laughlin nakręcił „Mistrza rewolweru”, w którym, w scenerii wczesno dziewiętnastowiecznej Kalifornii, bohater równie zręcznie operuje wielkokalibrowym bębenkowcem jak i ... samurajskim mieczem. Film nierówny; interesujący w zamyśle, ale przeładowany okrucieństwem. Zbyt wolna narracja, zamieniająca się w ekranową nudę. Ratuja „Mistrza rewolweru” piękne zdjęcia, chociaż krajobraz, morze, wschody i zachody słońca są dziwnie „japońskie” i wychodząc z kina ma już człowiek wszystko pomieszanę w głowie: nie jest pewny, czy znajduje się w kramie samurajów, w zielonej Kalifornii czy na kazimierskim Rynku. Tym bardziej, że u wyjścia stoi kierownik kina, Józio Miłosz, z twarzą spaloną na ciemny brąz. No tak, ale on był tego lata w Hiszpanii, piekł się w słońcu Barcelony i Madrytu a chłodził - w falach Morza Śródziemnego.

Koniec lata, koniec sezonu filmowego. Nadchodzi wrzesień. Modlimy się o słoneczną pogodę i o lepsze zakupy filmowe.